

Z Tobą zawsze..

Dozwała się piąć o kci. i. Adornie



Stanisław Struś

Nauczył mnie kochać ludzi

Imieniny u Jagody

Wiadomo, że nikomu nie są potrzebne nasze wspomnienia, tylko nam. Nikomu się nie przydadzą, bo wszystko trzeba przeżyć samemu. Pamiętam, jak śmialiśmy się z naszej mamy, gdy wspominała: „druhna taka czy druh taki” albo Dzidzia, Misia, Wisia... a każda z nich miała koło siedemdziesiątki. Gdy przyglądałem się poczynaniom „Środowiska”, zauważyłem, że rodzice, którzy byli wychowankami Karola Wojtyły, Wujka, chcą wpoić swoim dzieciom zasady życia, zakładania rodziny i podtrzymywania znajomości. Gdy zastanawiali się, jak dawać dzieciom pieniądze „po bożemu”, od razu pomyślałem, że po prostu trzeba je zamienić na czas, trzeba poświęcić dziecku więcej czasu.

Powtórzę, nie da się przekazać własnych doświadczeń, każdy musi zaczynać od nowa.

O duszpasterstwie akademickim przy kościele św. Anny sły-
szałem jeszcze w szkole średniej. Na religię, do św. Floriana, przyszła Krystyna z Antkiem, późniejszym jezuitą, by zaprosić maturzystów na spotkania w duszpasterstwie. Poszedłem na rekolekcje wielkopostne, nic z nich nie pamiętam, tylko księdza, który natrętnie namawiał, by przesunąć się do przodu i zrobić miejsce dla innych. Wtedy dowiedziałem się, że to ks. Boniecki.

Zaraz w październiku, na pierwszym roku, „jakaś” Jagoda zapraszała wszystkich pierwszoroczników na swoje imieniny, na Siemaszki. Było wiele dziewcząt i chłopaków, rozpozna-

wałem ich później w czasie duszpasterskich konwersatoriów i Mszy św. Tam poznałem Wieśka, dziś znamienitego fizyka. Później



Ręce nieznanomych studentów

Pani Chrzanowska i Ciotka Alina uczyły nas, że inaczej trzeba podnosić chorych na reumatyzm, a inaczej na SM, jak ścielić łóżka i uważać na odleżyny. Kolejny rozdział to rekolekcje dla chorych — „Trzebinia”. Kilka razy towarzyszyłem pani Alinie, odwiedzając z nią chorych. Przekonywaliśmy, że warto jechać do Trzebini. Miało to olbrzymie znaczenie dla chorych — niektórzy od wielu lat nie wychodzili ze swojego pokoiku — i dla rodziny, która przez parę dni nie musiała ich obsługiwać. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że było to powierzenie chorych osób w ręce nieznanomych studentów. My wykonywaliśmy prace siłowe, karmiliśmy ich, pielęnowaliśmy i... gadaliśmy z nimi, gadali. Trzeba jeszcze przypomnieć Mamę Adamcową, jej uśmiech i



obiady, siostry Felicjanki z s. Serafiną na czele i cały sztab „ludzi z samochodami”. Dyskretna opieka duchownych, ks. Adama, o. Leona, ks. Malińskiego, o. Meissnera. Na ks. bp. Karola Wojtyłę nigdy nie udało mi się trafić, choć bywał tu co roku.

Głęboko utkwily mi w pamięci dwa obrazy.



Nie zwracałem uwagi na tego, znowu nie takiego starego i radosnego człowieka, dopiero w czasie obiadu poprosił, by podać mu podwiązki — chciał zamocować sztucce do kikutów rąk. I drugie wspomnienie, człowieka, z którym miałem iść na spacer. Trzeba było wyjąć go z łóżka i posadzić na wózku inwalidzkim. Chwycił mnie za szyję i wtedy się zorientowałem, że przeniesienie jest utrudnione, bo nie ma nóg.



Anna Chrzanowska
Ciotka Alina (Rumun)
Mama Adamcowa

W Trzebini poznałem chłopaka, rówieśnika, z którym komunikowano się w specjalny sposób: mówiło się alfabet, a on w odpowiednim momencie zamykał powieki. Wydawałoby się, że jest dla rodziny wielkim obciążeniem, a pamiętam, jak mama przeżywała jego śmierć. Nie zapomnę nigdy mieszkania na Batorego. Byliśmy z Ciotką Aliną posprzątać pokój starszej pani. Nie da się opisać, w jakich warunkach leżała ta kobieta.

Przytaczam te fakty nie po to, żeby szokować, tylko podkreślić, jak to działa na młodego człowieka, jak pomaga ustalić hierarchię rzeczy ważnych i uczy dziękczynienia.



Rekolekcje dla chorych, Trzebinia



Studenci

Staniątki, konwersatoria i budowa

Przez sześć tygodni byłem na wczasach dla chorych w Staniątkach. Pamiętam siostrę, która podawała z klauzury posiłki, a szczególnie pyszny, biały ser. Miałem dwóch podopiecznych. Najciekawsze były rozmowy. Od rana do wieczora przebywaliśmy za murami klasztoru, o zmroku spuszczano psy. Utkwiło mi to w pamięci, a po tak długim czasie czułem się nieswojo na ulicy przy świetle księżyca.

Nie da się opowiedzieć wszystkich historii, na przykład pani



Morstinowej z jej „kapileuszem” i przedwojennymi lakierkami, przypomnieć zorby i innych tańców, kiedy pierwszy raz od partnerki usłyszałem: „Bóg zapłać” (imię siostry pamiętam) albo gdy sprawdzałem trawkę po trawce, bo chorej wydawało się, że obok wózka inwalidzkiego rośnie czterolistna koniczynka.

Następna dziedzina, którą panujący duszpasterz rozwinął, to konwersatoria. Można było wybrać spotkanie na interesujący temat z księżmi Malińskim, Hellerem, Tischnerem, Nagym i sio-



strą Zdybicką. Niektóre konferencje były nagrywane i skrzętnie spisywane z Adamowego magnetofonu Tesla B-240.

W czasie wakacji budowaliśmy kościół. To był konkretny wkład pracy. Pozostały wspomnienia: poranne zbieganie do strumyka i wieczorne rozmowy przy ognisku, nierozstrzygnięty



problem wojny sprawiedliwej i kary śmierci, donośny głos Jasia i subtelny Ninki: „Jasiu ma rację, bo...”. Niesamowite było to, że pod okiem duszpasterza rozmawiali studenci różnych uczelni, ludzie różniący się zainteresowaniami. Spotykaliśmy się z dużą życzliwością mieszkańców. Gościł nas w stodole pan Copija (to tylko nazwisko), panie „znosiły jajka”, a na koniec zajadałiśmy się różnokolorowymi tortami. Tam poznałem doskonałych budowniczych:

Krzysztofa, konstruktora dźwigu, Joachima, Roberta z „Hewenu shalom alejchem” i Psa.

Dzięki tej budowie zawiązało się wiele przyjaźni, a dzięki kajakom ks. Włodka — kilka małżeństw. Tak, bo właśnie on

zorganizował obóz kajakowy, śladami ks. Wojtyły, nad Wigrami i Czarną Hańczą. Kamionką pod prąd, między głazami, czasem po dywanach podwodnych roślin, każdy ciągnął na sznurku swojego dykciaka.

Były jeszcze obozy zimowe w Łopusznej, Wołkowyi. W Łopusznej, czytając książkę, zastanawialiśmy się, „czy Bóg umarł” i jak będzie sprawowana liturgia po polsku — to był czas posoborowy. Trochę emocji wzbudzał sposób przekazywania znaku pokoju — „chyba nie przez pocałunek, bo każdy ustawiałby się w kościele koło ładnych dziewczyn”. Z Łopusznej pochodzi słynne powiedzenie: „Nie trzeba chrapać”. Opowiadał ks. Adam, że w nocy poczuł na piersiach jakieś stukanie i usłyszał: „Nie trzeba chrapać”.

Spaliśmy wszyscy pokotem na podłodze. Ks. Włodek na strychu. Dzięki temu go poznałem. Trochę rozmawialiśmy. Potem w Krakowie pożyczył mi rower bp. Pietraszki i urządzaliśmy nocne eskapady w stronę Bielan. Później wielokrotnie brałem udział w obozach kajakowych sponsorowanych przez ks. Włodka. Tak wszedłem do kręgu rodzin profesorskich i wielodzietnych, „wnuków Superwujka”. Teraz ks. Włodek jest proboszczem w





kościół z Niegowici.

Na czym polega fenomen Adamowej wspólnoty, wspólnoty zawiązanej, w moim przypadku, na paczkach gazet, przy chlebie z żółtym serem, u ks. Adama, w mieszkaniu państwa Turowiczów? Dlaczego ci sami ludzie spotykają się do dziś na organizowanych przez niego rekolekcjach, czasem na czytaniu Pisma Świętego u innego księdza?

Może dlatego, że kiedy byliśmy młodzi, poznawaliśmy życie w gronie mądrych ludzi. Wzajemna pomoc, opieka nad chorymi, nauczyły nas dzielić się sobą z innymi. Każdy coś dawał dla wspólnoty. Wtedy polegało to na wyciągnięciu z plecaka tego, co ktoś miał do jedzenia, później — na dzieleniu się czasem. Jeśli się kogoś nienawidzi, nie chce się go widzieć, Adam nauczył mnie kochać ludzi, chcę z nimi być.